

Nasz tymczasowy nadzorca

Thomas Ligotti

Wysyłam ci niniejszy rękopis, abys opublikował go za granicą (o ile w ogóle do Ciebie dotrze), ponieważ wierzę, że konsekwencje opisanej tu historii dotyczą nawet ludzi spoza mojej ojczyzny, a tym samym – o ile mi wiadomo – ludzi spoza zasięgu wpływów Organizacji Quine. Ktoś o takim rozeznaniu dziennikarskim jak Ty zapewne wie, że te dwa byty, z których jeden może być określony jako jednostka polityczna, drugi zaś jako jednostka czysto komercyjna, są w zasadzie tożsame. Dlatego też po mojej stronie granicy można równie dobrze nazwać się *obywatelem* Organizacji Quine, albo Q. Org National, chociaż sądzę, że nawet Ty nie możesz w pełni wiedzieć, na czym ta identyczność polega – otóż za mego życia, jedna z tych jednostek całkowicie wchłonęła drugą. Takie twierdzenie może się wydawać przesadzone lub histeryczne po twojej stronie granicy, gdzie jesteśmy często postrzegani – i czego jestem pewien – jako ludzie nieco uwstecznieni, zamieszkujący małe, rozkładające się miasteczka porozrzucane w nizinnym krajobrazie, przez niemal okrągły rok osnute gęstą, szarawą mgłą. W ten sposób Organizacja Quine, będąca jednocześnie moją ojczyzną, zwodniczo przedstawia się światu i właśnie dlatego jest mi spieszno, by tę historię opowiedzieć.

Zaczynając – pracuję w fabryce położonej zaraz obok jednego z tych małych, rozkładających się miasteczek, niemal przez cały rok osnutych mgłą.

Budynek fabryki jest nijaką, jednopiętrową konstrukcją, wykonaną w

całości z betonowych pustaków oraz cementu. Powierzchnia robocza jej wnętrza dzieli się na pojedynczą halę oraz niewielkie, położone w rogu biuro z oknami o matowym szkłe. W owym biurze znajduje się kilka szafek na akta oraz biurko, przy którym zasiada nadzorca fabryki. Pozostali pracownicy stoją przy kilku kwadratowych „stanowiskach montażowych” – po cztery osoby, po każdej stronie jedna – a ich wyłącznym zadaniem jest ręczne składanie metalowych części dostarczanych nam przez inną fabrykę. Nikt, kogo bym nie spytał, nie miał najmniejszego pojęcia do jakiej maszyny – o ile to w ogóle była maszyna – służyły te części.

Kiedy podejmowałem pracę w fabryce, nie zamierzałem trzymać się jej zbyt długo – niegdyś miałem bowiem większe oczekiwania od swego życia, lecz ich obraz był w moim młodym umyśle raczej mętny. Mimo, iż praca nie była zbyt uciążliwa, a współpracowników miałem dość przyjaznych, nie wyobrażałem sobie, bym miał na zawsze już stać przy wyznaczonym mi stanowisku montażowym, dopasowując do siebie kawałki metalu, z nielicznymi przerwami na odpoczynek w ciągu dnia, z których jedna miała odrywać nasze umysły od monotonii pracy, druga zaś, być przerwą na posiłek, pozwalającą odżywić nasze ciała. Jakoś nigdy do mnie nie dotarło, że miasto, w którym żyłem ja oraz inni robotnicy fabryki, podróżujący do miejsca pracy i z powrotem tą samą osnutą mgłą drogą, nie oferowało żadnych szczególnych możliwości ani mnie, ani nikomu innemu; zapewne właśnie w tym leżały przyczyny mętnego, mglistego charakteru moich młodzięcych oczekiwań.

Tak się stało, że w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy pracowałem w fabryce, zaszła jedyna zmiana, jaka kiedykolwiek naruszyła codzienną rutynę

funkcjonowania owej montażowni, jedyne odchylenie od trwającego niezliczone lata rytuału. Ten wybieg od naszej robotniczej codzienności nie dawał początkowo szczególnego powodu do obaw, czy niepokoju. Nie było to nic, co mogłoby skłonić pracowników fabryki do zmiany dawki, czy rodzaju leków, które były im wszystkim zapisane, a po tej stronie granicy wszyscy, włącznie ze mną, biorą jakieś leki, co zapewne częściowo wynika z układu, jaki został zawarty w moim kraju, na mocy którego wszyscy doktorzy i farmaceuci opłacani są przez Organizację Quine – firmę posiadającą duży wydział farmaceutyczny.

Tak czy inaczej, w dniu, w którym została ogłoszona wspomniana wcześniej zmiana, nadzorca fabryki wyszedł ze swego biura i – co stanowiło rzadkość – ukazał się na hali, gdzie staliśmy ścieśnieni wokół przypisanych nam bloków montażowych. Pierwszy raz, odkąd tu pracowałem, nasza praca została wstrzymana *po między* chwilami przerwy, które robiliśmy dla orzeźwienia umysłu lub dla odżywienia naszych ciał. Nasz nadzorca, pan Frowley, był człowiekiem masywnym, choć niegroźnym. Poruszał się i mówił w sposób letargiczny, co mogło być spowodowane masą jego ciała, a może zażywaniem przez niego lekami – ich efektem ubocznym, czy może raczej, tym właściwym. Pan Frowley z mozołem dotarł na środek hali, po czym zwrócił się do nas ociężałym tonem.

– Zostałem wezwany w sprawach firmowych. – poinformował. – Na czas mojej nieobecności, zostanę tymczasowo zastąpiony przez nowego nadzorcę. Będzie tak od jutra, kiedy przyjdziecie o pracy. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo to potrwa.

Następnie spytał, czy ktoś z nas ma do niego jakieś pytania związane z tą

całkiem doniosłą sytuacją. Wtedy jednak pracowałem w tej fabryce jeszcze zbyt krótko, aby w pełni pojąć niezwykłość tego zdarzenia. Nikt nie miał pytań do pana Frowleya, a przynajmniej nikt nie wypowiedział żadnych na głos; pan Frowley ruszył więc z powrotem do swego biura o matowych szybach, położonego w rogu hali.

Gdy tylko ogłosił, że został wezwany w sprawach firmowych i że w tym czasie fabryka zarządzana będzie przez tymczasowego nadzorcę, wśród współpracowników podniósł się, oczywiście, szmer – cóż to wszystko mogło właściwie oznaczać. Według pracowników o dłuższym stażu, coś takiego nie wydarzyło się w tej fabryce nigdy wcześniej. Mówili tak nawet ci, – jak przypuszczałem – osiągnęli już taki wiek, że mogliby zostawić swą pracę i przejść na dobrze zasłużoną emeryturę, po spędzeniu całego swego dorosłego życia stojąc przy tym samym bloku montażowym, składając kawałki metalu. Szepty te już dawno ucichły, gdy pod koniec dnia wychodziliśmy z fabryki, idąc mglistą drogą z powrotem ku miastu, do naszych domów.

Z nieznanego mi powodu, nie mogłem tej nocy zasnąć. Zwykle, po całym dniu stania na nogach i składania jednego kawałka metalu za drugim, niezmiennie, w tej samej konfiguracji, zasypianie przychodziło mi z łatwością. Teraz jednak przewracałem się w łóżku, a czynności te ciążyły na mym umyśle pełnią swjej powtarzalności, bezkresowości i całkowitego oderwania od wszelkiej, wyobraźalnej dla mnie celowości. Pierwszy raz w życiu zaczęło mnie zastanawiać, w jaki sposób powstają składane przez nas części. Moje myśli na próżno próbowały sięgnąć aż do ich początków w najsurowszej postaci – do substancji wydobywanej przypuszczalnie z ziemi,

poddawanej pewnemu procesowi obróbki, a następnie kształtowanej w jakiejś fabryce, albo serii fabryk, która w końcu dociera na miejsce, gdzie byłem zatrudniony. Z jeszcze większym poczuciem daremności próbowałem sobie wyobrazić, gdzie owe metalowe kawałki dostarczane są po tym, jak zostaną już przez nas, zgodnie z wyszkoleniem, złożone. Mój umysł galopował w ciemnościach pokoju, próbując pojąć ich ostateczny cel i przeznaczenie. Nigdy wcześniej nie nurtowały mnie tego rodzaju pytania. Nie było sensu zajmować się takimi rzeczami, gdyż zawsze miałem większe oczekiwania od życia, które pozostawało mi po godzinach pracy w fabryce. W końcu wstałem z łóżka i wziąłem dodatkową porcję leków. Dało mi to chociaż tych kilka godzin snu przed czasem, kiedy ponownie musiałem stawić się w pracy.

Każdego poranka, kiedy wchodziliśmy do fabryki, zgodnie ze standardową procedurą, pierwszy mężczyzna przekraczający drzwi zapalał stożkowe lampy zwisające z sufitu na długich, metalowych prętach. Druga grupa świateł mieściła się w biurze nadzorcy i włączał je pan Frowley, który przychodził do pracy o podobnej porze, co my. Jednakże tego ranka, w biurze nadzorcy było ciemno. Jako że był to pierwszy dzień, w którym nowy nadzorca miał – choćby tylko tymczasowo – przejąć obowiązki pana Frowleya, założyliśmy, że z jakiegoś powodu nie było go jeszcze w fabryce. Kiedy jednak światło dnia w końcu przebiło się przez mgłę za wąskimi, prostokątnymi oknami fabryki, zaczęliśmy podejrzewać, że nowy nadzorca – czy raczej, nasz tymczasowy nadzorca – cały ten czas przebywał jednak w biurze. Mówię „podejrzewać”, gdyż przy zgaszonych lampach pomieszczenie to rozświetlane było jedynie światłem dnia i nie sposób

stwierdzić, czy po drugiej stronie matowych szyb biura nadzorcy rzeczywiście ktoś się znajdował. Jeżeli wysłany przez Organizację Quine w chwilowym zastępstwie dla pana Frowley'a nowy nadzorca rzeczywiście przebywał w biurze na rogu fabryki, nie poruszał się on w żaden sposób, który pozwoliłby nam odróżnić jego postać od innych rozmytych kształtów widocznych przez matową szybę tamtego pomieszczenia.

Choć nikt nie powiedział nic, co odwoływałoby się wprost do obecności lub nieobecności nowego nadzorcy w fabryce, widziałem, że niemal każdy z pracowników stojących przy blokach montażowych, zerkał czasem w kierunku biura pana Frowleya. Mój blok był jednym z najbliższych biura i mogłoby się wydawać, że wraz z innymi stojącymi tu ludźmi widzieliśmy lepiej niż pozostali, czy w środku rzeczywiście ktoś był. Jednak pracownicy stojący przy blokach położonych jeszcze bliżej biura nadzorcy, podobnie jak my, wymieniali między sobą jedynie ukradkowe spojrzenia, jakby pytali jeden drugiego: „Co myślisz?”. Nikt nie był jednak niczego pewien – przynajmniej czegoś, co dałoby się wyrazić w jakikolwiek sensowny sposób.

Mimo to, wszyscy zachowywaliśmy się tak, jakby w biurze na rogu rzeczywiście ktoś był, jak gdyby nasze czyny były poddawane starannej analizie i rygorystycznemu nadzorowi. Z upływem kolejnych godzin stawało się coraz bardziej oczywiste, że w biurze nadzorcy jednak ktoś przebywa, choć natura tego lokatora pozostawała niejasna. Podczas pierwszej przerwy w dniu roboczym, niektórzy mówili, że nie dało się stwierdzić, czy postać za matowymi szybami w ogóle miała określony kształt, albo czy posiadała jakąkolwiek stałą, trwałą formę. Kilku moich współpracowników mówiło o czymś na kształt ciemnej fali sunącej za, lub wewnątrz, szyby otaczającej

biuro nadzorcy. Twierdzili, że ilekroć skupiali wzrok na tym ruchu, zamierał on nagle, albo po prostu rozpraszał się jak mgła. Kiedy nadeszła przerwa na posiłek, wymieniliśmy się kolejnymi obserwacjami. Wielu mówiło, że widziało wolno przesuający się zarys, jakąś ciemną, kulistą formę wyglądającą jak burzowe chmury kłębiące się na niebie. Dla innych była ona niematerialna jak cień – bo zapewne to właśnie był cień – mówili, zaraz jednak dodając, że cień inny, niż wszystkie, jakie dotąd w życiu widzieli: czasem poruszał się w sposób, zdawałoby się, celowy, kreśląc w powietrzu za matową szybą w kółko i w kółko tę samą trasę, jakby był stworzeniem kręcącym się w klatce. Inni zarzekali się, że coś, co widzieli, miało formę cielesną, lecz całkiem nieuchwytną, dziwną. Mówili jedynie o „obszarze głowy” albo „odnodze”, dodając jednak od razu, że partii tych nie można było jednoznacznie uchwycić: „Nie wydaje mi się, żeby to coś siedziało za biurkiem”, twierdził jeden mężczyzna, „Wygląda raczej jakby zwisało z góry i było też trochę po bokach”. Widziałem to i ja, stojąc przy swoim bloku montażowym, widziały również osoby pracujące po mojej lewej i prawej stronie. Jedynie pracownik o nazwisku Blecher, przebywający dokładnie po drugiej stronie tego samego bloku, młodszy od większości osób zatrudnionych w fabryce, choć starszy ode mnie – pewnie tylko o kilka lat, ani słowem nie opisał tego, co mógł widzieć w biurze nadzorcy. Co więcej, przez cały dzień pracował ze wzrokiem skupionym na kawałkach metalu, a jego spojrzenie utkwione było gdzieś w dole – nawet w czasie, kiedy odchodził od bloku montażowego na przerwę, albo by skorzystać z toalety. Ani razu nie przyłapałem go na spoglądaniu w stronę rogu fabryki, od którego reszta z nas ledwie mogła oderwać wzrok. Potem, pod koniec dnia

roboczego, kiedy atmosfera w fabryce stała się ciężka od naszych wypowiedzianych słów i niewypowiedzianych myśli, kiedy między nami, jak i wewnątrz nas, zawisło jakieś niejasne, niepokojące poczucie nadzoru (czułem jakby założono mi jakieś wewnętrzne kajdany, nie pozwalające by moje ciało i umysł odeszły zbyt daleko od stanowiska przy bloku montażowym), Blecher w końcu się złamał.

„Dość!” – powiedział jakby do siebie. Później powtórzył to słowo głośniejszym, z gwałtownością, która sugerowała, co mógł w sobie nosić przez ten cały dzień. „Dość!” – krzyknął, odchodząc od bloku montażowego i obracając się, by spojrzeć prosto w drzwi biura nadzorcy, które, tak jak okna, były tylko matową szybą zamkniętą w ramie.

Blecher ruszył szybko w kierunku drzwi biura. Nie zatrzymując się ani na chwilę, nawet nie pukając, aby zapowiedzieć swe wejście, wpadł do sześciennego pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. Oczy całej fabryki utkwily teraz na położonym w rogu biurze. Choć nie byliśmy pewni co do fizycznej natury tymczasowego nadzorcy, to jednak nie mieliśmy najmniejszego problemu, by za matowymi szybami dojrzeć zarys Blechera i śledzić jego ruchy. Od tego momentu wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko; wszyscy staliśmy ogarnięci paralizem, jakiego czasem można doświadczyć podczas snu.

Po wejściu do pomieszczenia, Blecher z początku stał sztywno przed biurkiem. Trwał tak jednak tylko przez moment – już chwilę później szamotał się po pokoju, jakby z czymś walczył. Zderzył się z kilkoma szafkami i, w końcu, upadł na ziemię. Kiedy wstał, zachowywał się, jakby odpędzał rój owadów – wymachując ślepo ramionami, odpierał nawałnicę

mętnej, ruchomej masy, unoszącej się nad nim jak drżąca aura. Jego ciało uderzyło z impetem w matową szybę drzwi. Przez moment pomyślałem, że przez nią przeleci, odbiło się jednak od niej, by chwilę później wytoczyć się z biura, przystając na sekundę, by na nas spojrzeć. Każdy z nas również patrzył na niego – w jego oczach był obłęd i wyraz niezrozumienia, a jego ręce drżały.

Blecher pozostawił za sobą na wpół otwarte drzwi, lecz nikt nie próbował zajrzeć do środka. Wyglądał, jakby nie był w stanie ruszyć się z miejsca, choć drzwi do biura były zaledwie parę stóp od niego. Wreszcie jednak zaczęły się za nim zamykać – powoli, mimo że nie było widać siły sprawczej tego ruchu. Kiedy w końcu drzwi znalazły się z powrotem we framudze, usłyszeliśmy ciche kliknięcie. Odgłos przekręcanego po drugiej stronie zamka wybudził Blechera ze stuporu – zerwał się i wybiegł na zewnątrz fabryki. Nie minęło kilka sekund i rozległ się przenikliwy, ostry dzwonek sygnalizujący koniec dnia roboczego, choć dokładna pora na opuszczenie bloków montażowych jeszcze nie nadeszła.

Wybudzeni, już w pełni na jawie, ruszyliśmy ku wyjściu z fabryki. Idąc w zwartej grupie, poruszając się jednostajnie i bezgłośnie, opuściliśmy budynek. Na zewnątrz nie było śladu po Blecherze. Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek z nas spodziewał się, że go tam zobaczy. Tak czy inaczej, szarawa mgła w drodze do miasta była tego dnia wyjątkowo gęsta i idąc do domu, ledwie się nawzajem widzieliśmy. Nikt z nas nie powiedział ani słowa na temat tego, co się wydarzyło, jakby wiązał nas jakiś pakt milczenia. Jakakolwiek wzmianka na temat incydentu z Blecherem sprawiłaby, że powrót do fabryki stałby się niemożliwy, a nie było żadnego innego miejsca,

gdzie mógłbym zarobić na utrzymanie.

Tego wieczoru poszedłem spać wcześniej, biorąc uprzednio solidną dawkę leków, aby mieć pewność, że natychmiast zapadnę w sen, zamiast tak, jak ubiegłej nocy, leżeć przez godzinę, pogrążony w gonitwie myśli o pochodzeniu (gdzieś w ziemi) i dalszym przeznaczeniu (fabryce lub serii fabryk) metalowych kawałków, które składam przez całe dni.

Obudziłem się wcześniej niż zwykle, lecz zamiast pozostać w pokoju, gdzie najprawdopodobniej zacząłbym myśleć o wczorajszym dniu, poszedłem do małego baru w mieście, gdzie o tej porze serwowali śniadania.

Kiedy wszedłem do środka, okazało się, iż jest tam wyjątkowo tłoczno – stoliki, ławki i siedziska przy ladzie zajmowali głównie pracownicy z fabryki. Chociaż raz ucieszyłem się na widok tych ludzi, mając ich dotąd za „dożywników” w pracy, w której sam nigdy nie zamierzałem zbyt długo pozostać – w końcu nadal miałem niejasne, większe oczekiwania związane ze swoją przyszłością. Przywitałem się z kilkoma z nich, idąc w kierunku wolnego stolika przy ladzie. Nie otrzymałem jednak lepszej odpowiedzi niż kiwnięcie głową, mimo, że w zasadzie nikt nie był zajęty jakkolwiek rozmową.

Usiadłem przy ladzie i zamówiłem śniadanie, po czym zorientowałem się, że mężczyzna siedzący z mojej prawej strony to pracownik z fabryki, który dzień w dzień stoi przy tym samym bloku montażowym, co ja. Byłem całkiem pewien, że nazywał się Nohls; nie posłużyłem się jednak tym nazwiskiem, powiedziałem po prostu w możliwie najcichszy sposób: „Dzień dobry”. Przez chwilę Nohls nie odpowiadał, wpatrując się dalej w leżący przed nim w talerz, z którego powoli i mechanicznie wybierał widelcem małe

kawałki jedzenia, a następnie wkładał je sobie do ust. Nie odwracając do mnie twarzy, mówiąc jeszcze cichszym głosem niż ja, powiedział:

– Słyszałeś o Blecherze?

– Nie – wyszeptałem. – Co z nim?

– Nie żyje – powiedział Nohls.

– Nie żyje? – odpowiedziałem na tyle głośno, że wszyscy w barze obrócili się i spojrzeli w moją stronę. Kontynuując rozmowę dużo cichszym głosem, spytałem Nohlsa co się stało.

– Ten pensjonat, w którym mieszka... Kobieta prowadząca to miejsce powiedziała, że dziwnie się zachowywał po tym jak... po tym jak wrócił wczoraj z pracy.

Później – poinformował mnie Nohls – Blecher nie zjawił się na obiad. Kobieta zarządzająca pensjonatem postanowiła do niego zajrzeć i sprawdzić co się stało, lecz Blecher nie odpowiadał na jej pukanie. Zaniepokojona, poprosiła jednego z mieszkańców by wszedł do jego pokoju. Odnaleźli go na jego łóżku – leżał twarzą w dół, a obok niego, na nocnym stoliku, stało kilka pustych opakowań po różnych, zapisanych mu lekach. Nie spożył całej zawartości owych opakowań, choć przyczyną zgonu było przedawkowanie. Być może chciał po prostu wyrzucić z głowy wydarzenia tamtego dnia i porządnie się w nocy wyspać.

– Sam tak robiłem – powiedziałem Nohlsowi.

– Może właśnie tak właśnie było – odparł Nohls. – Wątpię, by ktokolwiek uzyskał w tej sprawie pewność.

Po zjedzeniu śniadania, dolewałem sobie kawę za kawą, podobnie zresztą jak pozostali, z Nohlsem włącznie. Zostało nam jeszcze trochę czasu, zanim

musieliśmy stawić się w fabryce. W końcu jednak zaczęli przychodzić inni bywalcy baru, wyruszyliśmy więc jedną grupą do pracy.

Do świtu zostało jeszcze parę godzin – droga do fabryki była ciemna i osnuta mgłą. Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że pod drzwiami stało już kilku innych pracowników. Wyglądało na to, że nikt nie chciał wejść do budynku pierwszy i włączyć światła. Dopiero, gdy zebraliśmy się wszyscy, odważyliśmy się wejść do środka. Odkryliśmy wówczas, że tego ranka ktoś nas uprzedził i zapalił lampy przed nami. Jego twarz była dla nas nowa. Stał na starym miejscu Blechera, dokładnie naprzeciw mnie, przy moim bloku montażowym. Zdążył już wykonać sporo pracy; jego ręce poruszały się wściekle, składając zacięcie małe kawałki metalu.

Idąc halą w kierunku naszych stanowisk i odpowiednich bloków montażowych, niemal każdy z nas zerknął podejrzliwie w kierunku tej nowej, stojącej na miejscu Blechera postaci, pracującej, jak już wspominałem, we wściekłym tempie. Tak naprawdę, wściekle pracowały wyłącznie jego ręce, które wyglądały jak dwa duże pająki uplatające wspólną sieć. Pomijając jego ręce, Blecher stał całkiem spokojnie i wyglądał jak typowy pracownik fabryki. Ubrany w przepisową, dobrze dopasowaną, szarą odzież roboczą, nie był ani zauważalnie starszy, ani wyraźnie młodszy od pozostałych pracowników. Jediną wyróżniającą go cechą stanowiła wściekłość, z jaką pracował, poświęcając temu zajęciu całą swoją uwagę. Nawet, kiedy fabryka wypełniła się już innymi ludźmi ubranymi w szarą odzież roboczą, z których niemal każdy spoglądał podejrzliwie na nowego pracownika, ten ani razu nie podniósł oczu znad swego bloku montażowego, gdzie układał te kawałki metalu z taką zaciętością i w tak całkowitym pochłonięciu, że nie zwrócił na

nikogo wokół najmniejszej nawet uwagi.

O ile obecność tego nowego pracownika wydawała się czymś niepokojącym przez to, jak wyglądał tamtego poranka – co miało miejsce dzień po tym, jak Blecher przedawkował leki – zajął on jego miejsce dokładnie naprzeciwko mnie, przy moim bloku montażowym i przynajmniej odciągał uwagę od zaciemnionego biura zajmowanego przez naszego tymczasowego nadzorcę. Tak, jak dzień wcześniej nadzorująca postać absorbowała nas całkowicie, tak dziś całą naszą uwagę przyciągał ów nowy pracownik. Choć z jego powodu nasze umysły wręcz kipiały od rozmaitych spekulacji i podejrzeń, to przynajmniej jego obecność nie wywoływała atmosfery upiornych myśli i przebiegłości, przez które Blecher popadł w totalny obłęd, postępując tak, jak wczoraj.

Oczywiście, ktoś w końcu musiał spytać nowego pracownika, skąd się wziął w fabryce. Jako że pracownicy stojący z moich obydwu stron robili, co tylko mogli, aby nie zwracać uwagi na zaistniałą sytuację, czułem, że zadanie uzyskania jakichś odpowiedzi spadło na mnie.

– Skąd jesteś? – spytałem mężczyznę stojącego dokładnie naprzeciw mnie, po drugiej stronie bloku montażowego, na miejscu gdzie kiedyś stał Blecher.

– Przysłała mnie firma – odpowiedział mężczyzna zaskakująco otwartym i swobodnym tonem, ani na sekundę nie odrywając jednak wzroku od swojej pracy.

Przedstawiłem wtedy siebie oraz pozostałych dwóch mężczyzn przy bloku montażowym, którzy w odpowiedzi skinęli głowami i wymamrotali w kierunku obcego słowa pozdrowienia. Zorientowałem się wtedy, że nowy

pracownik nie jest zbyt skory, by się przede mną odsłonić.

– Bez urazy – powiedział. – Ale jest tu cała masa pracy do zrobienia.

W czasie naszej krótkiej rozmowy, nowy pracownik ani na chwilę nie przestał pracować nad kawałkami metalu. Zauważyłem, że choć jego głowa była cały czas pochylona – tak samo jak głowa Blechera poprzedniego dnia – to jednak jego oczy od czasu do czasu przeskakiwały bardzo szybko w kierunku biura nadzorca. Widząc to, postanowiłem mu więcej nie przeszkadzać, uznając, że może będzie bardziej rozmowny podczas zbliżającej się przerwy. W międzyczasie pozwoliłem mu dalej pracować we wściekłym tempie, znacznie przekraczającym wydajność któregośkolwiek z pracowników w fabryce.

Po chwili dostrzegłem, że mężczyźni stojący po mojej lewej i prawej stronie starają się naśladować zręczny styl składania tych małych kawałków metalu, a nawet konkurować z niesamowicie wydajnym tempem pracy nowego pracownika. W końcu sam zacząłem robić to samo. Początkowo nasze wysiłki były godne pożałowania – bezskutecznie próbowaliśmy zmusić nasze ręce do naśladowania jego ruchów, które były tak szybkie, że nasze oczy nie mogły za nimi nadążyć. Nasze umysły nie były w stanie rozpracować techniki jego pracy, tak odmiennej od stosowanej przez nas do tej pory. Mimo to, w jakiś niepojęty dla nas sposób, stopniowo osiągaliliśmy podobną prędkość i styl składania kawałków metalu jak on. Nasze wysiłki i nowa metoda pracy nie pozostały niezauważone przez pracowników obok nas. Stopniowo, nowa technika była przekazywana po fabryce, coraz to dalej. Do czasu pierwszej przerwy już wszyscy stosowali metodę nowego pracownika.

Nie przerwaliśmy jednak pracy na długo. Gdy stało się jasne, że nowy pracownik nie zatrzyma się ani na sekundę, by dołączyć do nas na planową przerwę, powróciliśmy do bloków montażowych, by kontynuować pracę – z taką zaciętością, na jaką tylko nas było stać. Wydajność naszej pracy zaskoczyła nas samych – to, co kiedyś wydawało się czynnością prostą i nużącą, nabrało teraz wirtuozerii zbliżonej do tej, jaką prezentował mężczyzna o nieznanym nam imieniu. Czekałem z niecierpliwością by porozmawiać z nim o wniesionej przez niego zmianie, licząc, że będzie ku temu sposobność podczas zbliżającej się przerwy na posiłek. Nikt jednak nie spodziewał się czekającego nas spektaklu, kiedy ta chwila w końcu nadeszła.

Okazało się bowiem, że zamiast opuścić stanowisko przy bloku montażowym na czas sankcjonowanej dotąd przez firmę przerwy, nowy pracownik pracował dalej. Spożywał posiłek jedną ręką, a kawałki metalu składał drugą, choć w nieco wolniejszym tempie niż dotąd. Spektakl ten ukazał nieznaną nam dotąd poziom wirtuozerii w służbie wydajności. Początkowo widoczna była niechęć przed tym nowym stopniem poświęcenia dla pracy, ku któremu bez ostentacji prowadził nas nowy pracownik. Bardzo szybko stało się jednak jasne, co nim powodowało. Rzecz była prosta – pracownicy nie pracujący w czasie przerw na posiłek, zaczęli odczuwać lęk, a nawet udrękę spowodowaną niepokojącą atmosferą panującą w fabryce, a której źródło przypisywano tymczasowemu nadzorcy, zajmującemu biuro za matowymi szybami. Z kolei pracownicy zajęci nieprzerwaną pracą przy swoich blokach montażowych, zdawali się być relatywnie nieporuszeni obrazami i wpływami jeszcze wczoraj nękającymi nas wszystkich, pomimo iż nie doszliśmy do porozumienia w kwestii ich

dokładnej natury. Ostatecznie więc wszyscy szybko nauczyliśmy się jedną ręką spożywać posiłki, a drugą pracować dalej. Nie trzeba dodawać, że na czas naszej ostatniej przerwy nikt nie ruszył się sprzed swego bloku montażowego ani o centymetr.

Dopiero, gdy rozległ się dźwięk dzwonka sygnalizującego koniec dnia pracy, co zresztą nastąpiło kilka godzin później niż zwykle, miałem okazję porozmawiać z nowym pracownikiem. Po wyjściu na zewnątrz fabryki, kiedy wszyscy w cichym wyczerpaniu zmierzali z powrotem w kierunku miasta, postanowiłem go dogonić – szedł szybkim krokiem w gęstej, szarawej mgle. Nie przebierałem w słowach.

– Co się dzieje? – domagałem się wyjaśnień.

Mężczyzna niespodziewanie zatrzymał się i odwrócił w moją stronę, choć przez gęstą mgłę ledwie się nawzajem widzieliśmy. Zauważyłem wtedy, że nieznacznie zwraca głowę się w kierunku fabryki, której budynek był już dość daleko za nami.

– Słuchaj, kolego. – powiedział zupełnie szczerym tonem. – Nie chcę kłopotów. Mam nadzieję, że ty również.

– Czy nie pracowałem równo z tobą? – powiedziałem. – Czy nie pracowaliśmy tak wszyscy?

– Tak. To był dobry początek.

– Rozumiem więc, że współpracujesz z nowym nadzorcą.

– Nie. – powiedział stanowczo. – Nic mi o tym nie wiadomo. Nie mogę ci nic na ten temat powiedzieć.

– Ale pracowałeś już wcześniej w podobnych warunkach, prawda?

– Pracuję dla firmy, tak jak ty. Firma mnie tu przysłała.

– Ale coś musiało się w firmie zmienić! – powiedziałem. – Dzieje się coś nowego.

– Niezbyt. – odparł. – Organizacja Quine ciągle reguluje i udoskonala sposoby, jakimi prowadzi swoje interesy. Po prostu było trochę czasu, by dotarło to tutaj, do was. Jesteście bardzo daleko od głównej siedziby firmy, a nawet od najbliższej siedziby regionalnej”.

– Będzie tego więcej, prawda?

– Możliwe. Ale naprawdę nie ma sensu o tych sprawach dyskutować, a przynajmniej, jeśli chcesz dalej pracować dla firmy. Jeżeli chcesz trzymać się z dala od kłopotów.

– Jakich kłopotów?

– Muszę iść. Proszę, nie próbuj o tym ze mną rozmawiać ponownie.

– Chcesz powiedzieć, że złożysz na mnie raport?

– Nie. – powiedział z oczami zwróconymi w kierunku fabryki. – W tych czasach to już nie jest konieczne.

Odwrócił się wtedy i, idąc szybkim krokiem, zniknął we mgle.

Następnego ranka, wraz z pozostałymi pracownikami, wróciłem do fabryki. Pracowaliśmy jeszcze szybciej i byliśmy jeszcze bardziej wydajni. Było tak po części dlatego, że tego dnia dzwonek sygnalizujący koniec pracy rozległ się jeszcze później, niż wczoraj. Stopniowe wydłużanie się czasu spędzanego w fabryce, wraz ze wzrastającym tempem pracy, stało się normą. Nie trzeba było długo czekać, nim poza terenem fabryki mogliśmy już spędzać zaledwie kilka godzin – jedyne kilka godzin, jakie nam pozostawało, choć czas ten i tak można było wykorzystać wyłącznie na wypoczynek niezbędny przed powrotem do krańcowo wyczerpujących prac, jakich żądała

od nas firma.

Niemniej zawsze miałem większe oczekiwania od swego życia, oczekiwania, które z każdym kolejnym dniem stawały się coraz to bardziej mętne. *Muszę złożyć rezygnację ze stanowiska w fabryce.* Słowa te gnały po mym umyśle, kiedy usiłowałem zyskać kilka godzin snu przed powrotem do pracy. Nie wiedziałem zupełnie, co taki krok mógłby dla mnie oznaczać, jako że nie miałem żadnych innych perspektyw na własne utrzymanie, nie miałem też odłożonych pieniędzy, by opłacić pokój w zamieszkiwanym przez siebie mieszkaniu. Do tego lekarze i farmaceuci wydający leki, dzięki którym egzystencja moja, jak i wszystkich innych ludzi po tej stronie granicy, stawała się w ogóle do zniesienia, wszyscy byli zatrudniani przez Organizację Quine. Mimo tych wszystkich przeciwności, nadal czułem, że nie mam wyjścia i muszę złożyć rezygnację ze swojego stanowiska w fabryce.

Na końcu korytarza, za drzwiami do mojego mieszkania, znajdowała się mała nisza, w której zamontowano telefon do użytku lokatorów budynku. Musiałem złożyć rezygnację korzystając z właśnie tego telefonu, gdyż wykonanie tego osobiście było dla mnie zupełnie nie do wyobrażenia. Nie byłbym w stanie wejść do biura tymczasowego nadzorca, tak jak to zrobił Blecher. Nie mógłbym wejść do tamtego pomieszczenia otoczonego matowymi szybami, przez które ja i moi współpracownicy obserwowaliśmy coś, co ukazywało się w rozmaitych postaciach i formach, od nieokreślonego kształtu, który zdawał się kotłować i kłębić jak czarna chmura, po coś bardziej określonego, co zdawało się mieć „obszar głowy” oraz „odnogi”. Biorąc to wszystko pod uwagę, zdecydowałem się zadzwonić do najbliższego

centrum regionalnego i złożyć rezygnację telefonicznie, rozmawiając z odpowiednią osobą, zajmującą się takimi sprawami.

Nisza z telefonem na końcu korytarza za drzwiami mojego mieszkania była tak wąska, że musiałem wślizgnąć się do niej bokiem. W przestrzeni tej ledwie mogłem wykonać ruch, aby wrzucić monetę do wiszącego na ścianie telefonu, w panującej tu ciemności z trudem mogłem też dojrzeć wykręcane na tarczy cyfry. Pamiętam, jak bardzo byłem przejęty, aby nie wykręcić złego numeru, tracąc tym samym pozostałą mi resztkę pieniędzy. Upewniwszy się na wszelkie możliwe sposoby, że uda mi się prawidłowo wykręcić numer – co zdawało się trwać całe godziny, zadzwoniłem w końcu do najbliższego centrum regionalnego firmy.

Przerywany sygnał pobrzmiwał tak długo, że obawiałem się, że nikt nie odbierze. W końcu jednak sygnał ucichł i po krótkiej przerwie rozległ się lewie słyszalny głos. Brzmiał słabo i jakby z dużej odległości.

– Organizacja Quine, Północno–Zachodnie Centrum Regionalne.

– Tak – zacząłem. – Chciałbym złożyć rezygnację ze swego stanowiska w firmie – powiedziałem.

– Przepraszam, czy powiedział pan, że chce odejść z firmy? Brzmi pan jakby z bardzo daleka – powiedział głos.

– Tak, chcę złożyć rezygnację – krzyknąłem do słuchawki. – Chcę złożyć rezygnację. Czy mnie słyszać?

– Tak, słyszę pana. Jednak firma obecnie nie przyjmuje rezygnacji. Przełączę pana do naszego tymczasowego nadzorca.

– Proszę poczekać – powiedziałem, ale rozmowa została już przełączona i ponownie usłyszałem przerywany sygnał powtarzający się tak długo, że

wystraszyłem się, że nikt nie odbierze.

Wtedy sygnał ucichł, nie odezwał się też jednak żaden głos. „Halo!” – powiedziałem. W odpowiedzi usłyszałem tylko nieokreślony, odbijający się echem hałas – niski, ryczący dźwięk, naprzemiennie cichnący i głośniejący, dudniący jakby niósł się po przepastnych przestrzeniach głęboko w jaskiniach ziemi albo po zachmurzonym niebie. Hałas ten – niskie, bestialskie ryczenie – zdjął mnie grozą, której nie potrafię wyrazić. Cofnąłem słuchawkę od ucha, jednak ryczący hałas nadal huczał w mojej głowie. Poczułem wtedy, że słuchawka zaczyna drżeć w mojej dłoni, pulsować jak żywa istota. A kiedy trzasnąłem nią o widelki, drżące, pulsujące wrażenie zaczęło wspinać się po mej ręce, wypełniać całe moje ciało, by w końcu dosięgnąć mózgu, gdzie zsynchronizowało się z niskim, ryczącym hałasem, który teraz narastał i narastał, rozbijając moje myśli do stanu tętniącego obłędu, paraliżując moje ruchy tak, że nie byłem nawet w stanie krzyknąć o pomoc.

Nigdy nie byłem do końca pewien, czy rzeczywiście kiedykolwiek zadzwoniłem, aby złożyć rezygnację z mego stanowiska w firmie. Nawet jeśli rzeczywiście się to zdarzyło, nigdy nie będę miał pewności czy to, czego doświadczyłem – co usłyszałem i poczułem w tamtej niszy na końcu korytarza przy moim mieszkaniu – w jakikolwiek sposób przypominało sny nawiedzające mnie każdej nocy, odkąd przestałem zjawiać się w fabryce. Żadna dawka leków nie była w stanie powstrzymać tych snów, żadna dawka leków nie była też w stanie wymazać ich z mej pamięci. Po krótkim czasie zażywałem ich już takie ilości, że zostało ich za mało, bym mógł się nimi przeciążyć tak, jak Blecher. Jako że nie byłem już zatrudniony, nie było mnie

stać by zrealizować recepty, a tym samym by pozyskać leki, dzięki którym mogłem ścierpieć swą egzystencję. Oczywiście, gdybym tylko był ku temu skłonny, mógłbym ze sobą skończyć w jakiś inny sposób. Nadal jednak miałem większe oczekiwania od własnego życia – dlatego też wróciłem sprawdzić, czy mogę jeszcze odzyskać pracę w fabryce. W końcu osoba z centrum regionalnego, z którą rozmawiałem, mówiła, że Organizacja Quine obecnie nie przyjmuje rezygnacji.

Oczywiście nie mogłem być pewien, co naprawdę powiedziano mi podczas tej rozmowy, ani czy w ogóle zadzwoniłem, aby złożyć rezygnację ze swego stanowiska w firmie. Do chwili, kiedy nie stanąłem ponownie w fabryce, nie wiedziałem, czy była tam dla mnie jeszcze praca w razie, gdybym zechciał do niej wrócić. Okazało się jednak, że miejsce przy moim bloku montażowym, przy którym to stałem długimi godzinami, nadal było wolne. Ubrany w swój szary strój roboczy, podszedłem do bloku i we wściekłym tempie zacząłem składać te małe kawałki metalu. Nie przerywając zadania, zerknąłem znad bloku montażowego na osobę, o której kiedyś myślałem jako o „nowym pracowniku”.

– Witam z powrotem – powiedział zwyczajnym głosem.

– Dziękuję – odpowiedziałem.

– Powiedziałem panu Frowleyowi, że wrócisz lada dzień.

Na wieść, że tymczasowy nadzorca odszedł i fabryką znów zarządzał pan Frowley, ogarnęła mnie na moment wielka radość. Kiedy jednak spojrzałem w kierunku jego biura na rogu, zauważyłem, że światła za matowymi szybami były zgaszone, choć dało się dojrzeć masywną sylwetkę pana Frowleya siedzącą za biurkiem. Jak się później okazało, był to już jednak

inny człowiek. Nikt, ani nic, w fabryce nie mogło być już takie jak dawniej. Pracowaliśmy teraz właściwie bez przerwy. Niektórzy z nas zaczęli zostawać w fabryce na noc, przespiając jakąś godzinę w którymś z kątów, by zaraz potem dalej pracować przy przypisanym bloku montażowym.

Po tym, jak wróciłem do pracy, przestały mnie nękać koszmary, z powodu których znów znalazłem się w fabryce. Nadal jednak dało się odczuć atmosferę tych koszmarów, niewyraźnych i tak podobnych to tego, co nasz tymczasowy nadzorca sprowadził ze sobą do fabryki. Sądzę, że wzbudzenie poczucia nieustannie doglądującej nas obecności tymczasowego nadzorcy, było zabiegiem precyzyjnie wykalkulowanym przez Organizację Quine, która to ciągle reguluje i udoskonala sposoby, jakimi prowadzi swoje interesy.

Firma utrzymała swą politykę nie przyjmowania rezygnacji. W pewnym momencie rozszerzono ją nawet o zakaz przechodzenia na emeryturę. Przypisano nam wszystkim nowe leki, nie potrafię jednak powiedzieć dokładnie, jak wiele lat temu to się stało. Nikt w fabryce nie pamięta, jak długo tu pracujemy, ani w jakim jesteśmy wieku. Nasze tempo i produktywność jednak dalej rosną. Zdaje się, że ani firma, ani nasz tymczasowy nadzorca, nigdy z nami nie skończą. Jesteśmy jednak tylko istotami ludzkimi, lub przynajmniej istotami materialnymi i pewnego dnia musimy umrzeć. To jedyna emerytura, jakiej możemy się spodziewać, choć nikt z nas nie wyczekuje jej nadejścia. Nie możemy przestać sobie wyobrażać, co nas po niej czeka – jakie plany może wobec nas mieć firma i jaką ma w nim rolę nasz tymczasowy nadzorca. Praca we wściekłym tempie i składanie tych małych kawałków metalu pozwalają nam trzymać myśli od

tych spraw z daleka.